

Michał Choromański Schodami w górę schodami w dół

Postłowieм opatrzył Marek Sottysik

Państwowy
Instytut
Wydawniczy

BYŁ KONIEC KWIETNIA, ale w górach dzięki wyjątkowo ciepłym tegorocznym wiatrom już wiosna była w pełni: kwitły krokusy, kiedy zjawiała się tam niesympatyczna, ale ze wszech miar ciekawa postać Ryszarda, o którym w przyszłości plotkowano, że był niemieckim szpiegiem, i którego w najlepszym razie nazywano spódniczkarzem lub donżuanem. To ostatnie przezwisko przesączyło się w ślad za nim z Czechosłowacji, w której podobno przebywał przez pewien czas. Natomiast o jego rzekomo ciemnej przeszłości politycznej dowiedziano się u nas dzięki niedyskrecji popełnionej przez komisarza policji krakowskiej, dra Bolesława Szmurłę. Napomknął coś o tym, że w pewnym notesiku, notesiku szczególnie poufnym, figurowało niegdyś nazwisko Ryszarda wśród nazwisk podwójnych konfidentów. Natychmiast po tym niewątpliwie świadomym przejęzyczeniu dr B. Szmurło zamilkł jakby zażenowany. Komisarz policji nie lubił Ryszarda, ale bynajmniej nie szło mu o jego przeszłość – do której dobrze wychowany człowiek odnosi się co najmniej z pewną dozą obrzydzenia. Szło mu tylko i po prostu o kobietę. Każdy, nawet dziecko małe domyślało się, o kim w tym wypadku myślał.

Otóż wspomniałem, że komisarz wymienił nazwisko Ryszarda jako figurujące itp. Rzecz w tym, jakie to było naprawdę nazwisko. Przyjechał Ryszard i zameldował się w naszej wysokogórskiej miejscowości jako inżynier budowlany Ordęga trojga imion Ryszard Luty Eustachy – nazwisko znane i szanowane, ale jak się okazało, pod które się nieprawnie podszywał. Po co? w jakim celu? Dopiero potem usłyszałem jednym uchem, że i tutaj należało doszukiwać się romansu: po prostu nie chciał, żeby ta lub inna żona wreszcie go odnalazła. W rzeczywistości nazywał się jakoby Furdala.

Obiecałem opowiedzieć, w związku z jaką kobietą komisarz nie lubił Ryszarda, i czynię to skwapliwie. Tym bardziej że stanowi ona o rdzeniu opowieści. A właściwie nawet nie o rdzeniu. Była czymś w rodzaju pnącza, oplatającego pień rozłożystego drzewa, za jakie uważam swego prawdziwego bohatera czyli Ryszarda. Pnącz do tego stopnia rozrośnięty, że niekiedy z trudem da się pod nim namacać główny temat książki. Innymi słowami ornamentyka literacka głusząca przewodnią nić. Jednak kobieta ta warta grzechu, nie tylko książki. Bo i naprawdę była nadzwyczajna. Szmurło nie był odosobniony w swym niedzisiejszym do niej uwielbieniu. Wszyscy, którzy kochali się w niej, byli jej wierni od wieku niemal mutacji aż po grobową deskę. Tylko że nie była to miłość taka, do jakiej po wojnie myśmy się już przyzwyczaili. Nie było to zwykłe miłosne pożądanie. Miłość do pani Draginy była zawsze miłością do władzy. Spotkawszy się z nią, mężczyzna zawsze wołał: – Albo ja nic nie jestem wart, albo ona będzie moja! – Więc była, jeżeli można tak rzec, probierzem mocy ducha męskiego, coś w rodzaju żywego siłomierza. Komisarz, figura na krakowskim gruncie dość ponura i nędzna, twierdził, że ma zwichniętą karierę polityczną tylko dlatego, że nie potrafił jej zdobyć. Coś z jego dążeniem do władzy więc było nie w porządku.

Jednakowoż trudno na wstępie poruszyć naraz wszystkie te tematy. Powróćmy do najważniejszego. Jedyną kobietą, która mogła stawiać czoło zakusom donżuańskim Ryszarda, była właśnie pani Dragina. Jeżeli zaś zdążyłem już opowiedzieć i o komisarzu Szmurle, i o plotkach na temat szpiegostwa, itp., to bynajmniej nie po to, by w sposób wulgarny zaciekawić czytelnika na samym początku. Co będzie dalej? Jak tam było naprawdę z tym poufnym notesikiem i czy nie zakrawa to na zemstę zawiedzionego komisarza? Z góry proszę nie dawać wodzy fantazji w tym kierunku. Nie jest to opowieść sensacyjna i sęk jej bynajmniej nie tkwi w tych lub innych przygodach kryminalnych lub miłosnych. Całkiem gdzie indziej! Prawdziwy klucz tematu trzymam mocno w garści i dopiero pod koniec tomu zobaczymy zamek, do którego pasuje.

Dlaczegoż w takim razie tyle się mówiło o ciemnej przeszłości, o notesiku, przybranym nazwisku, o zawiedzionych, być może, nieprawnych żonach? Wyznam z ręką na sercu, że zależało mi na wywołaniu w wyobraźni czytelnika czegoś w rodzaju dwuznacznego zamętu – chwyt nieszlachetny, być może, ale zupełnie nieodzowny, skoro się chce (nie znając Ryszarda osobiście) – oczyma duszy go sobie wyobrazić. Dwuznaczność! Był to ten sam legendarny pan z zegarkiem, o którym się mówi: nie wiem, czy jemu ktoś skradł zegarek, czy on komuś – ale w każdym razie coś tam było!... Bez tego wstępu o Ryszardzie nawet nie warto zaczynać. I jeszcze jedną rzecz dodam: Szmurło jest postacią raczej epizodyczną. Znacznie ważniejszą rolę w rzekomym zdemaskowaniu Ryszarda – o ile znów powrócimy do nieważnej w tym wypadku strony fabularnej – odegrał były kelner, Barski, obecnie właściciel domku na Baziach.

Na którymś tam kilometrze za miasteczkiem, gdy się szlakiem podbaziańskim szło w stronę szosy krakowskiej,

przekraczało się zazwyczaj potoczek (skromny dopływ Dunajca) – i tam taternik przystawał z okrzykiem niekłamanego zachwytu. Zasnutym mgłą wzrokiem spoglądał we wzniosłej zadumie na zieleniejące wzgórze, otoczone wokół wierzbami o puszystych baziach i uwieńczone wspaniałą chińską pagodą: werandy na górze, werandy na dole, cała kongregacja daszków i poddaszy o wypukłych i zagiętych do góry rynnach – jednym słowem willa pani Draginy, wdowy po znanym, a zarazem zapoznanym architekcie tudzież rzeźbiarzu, o którym trochę poniżej.

Na werandach, niczym w tropikach zewsząd dom otaczających, kwitły wiosną i latem pnące się z korytek lilio-we, błękitne, pomarańczowe kwiatki – z oddali wyglądało to tak, jak gdyby cała willa tonęła w mglistych płomieniach, a kiedy na zboczach wytryskiwały krokusy, miało się naprawdę wrażenie, że wzgórze oblano spirytusem i podpalono. Za życia męża pani Draginy było to możliwe, nieboszczyk architekt chlał czystą aż miło.

Miał poza tym trochę niedobrze w głowie i dowodził, że tylko wzmożona potencja seksualna jest podłożem wszelkiej sztuki. Impotent Partenonu nie zbudował, o nie, moi panowie! Sądząc po komplementach, których samemu sobie i swym architektonicznym projektom nie szczędził – za impotentą samego siebie nie uważał.

Ponoć praprzyczyną wszystkiego i złym duchem tego żalosego nieporozumienia był Stanisław Przybyszewski. To on pewnej burzliwej nocy spotkał w kawiarni młodego krakowskiego architekta, Antka Łuckiego, i pełen szatańskiego niemal patosu, nazwał go budowniczym Solnesem. Do miasteczka naszego w sezonie zjeżdżało moc starych krakowian i nieraz słyszałem to opowiadanie. Pogoda była pod psem, można powiedzieć zupełnie pod Przybyszewskiego. Ochłapy mokrego śniegu waliły w szyby nocnej knajpki, prostytutki na Floriańskiej i Św. Jana aż płakały

z chłodu i żalu. Nie wiedzieć skąd, ni to spod szynkwasu, ni to spod nóg samotnej pani w czerni i w kapeluszu ze strusich piór, siedzącej na kanapie, wylazł przybłęda, czarny pudel na strzyżonych nóżkach, i podszedł do Przybyszewskiego, by otrzeć się o jego kolano. Sam czart! Cha cha! Przybyszewski przechylił się przez stolik, chwycił za rękaw Antka Łuckiego i szepnął: – Robaczku! Ja tylko wiem, co w tobie śpi. Geniusz na pierzynie. Talent przykryty watowaną kołdrą. Obok ciebie leży albo nabity rewolwer i samobójstwo, robaczku, albo genialność. Budowniczy Solnes, wybieraj! Cha cha! Ale pamiętaj – na tej ziemi oczom swoim nie wierz i buduj prachucią!

Kundel stanął na tylne nóżki i wyciągnął do Antka Łuckiego łapę. Oczy podobno błyszczały mu czerwonym blaskiem. Sam czart!

Nie wiadomo, jak przy pomocy chuci zbudował budowniczy Solnes dwie secesyjne kamieniczki w Krakowie, już obecnie nieistniejące – ale kariatyda na jednej z nich miała takie piersi, że podobno pani Dragina (osoba pod tym względem raczej szczupła) nie mogła ich mężowi darować nawet na jego łożu śmierci.

Tak, Przybyszewski odegrał swoją rolę. Jak wiadomo, pierwszą żoną Mocnego Człowieka była Dagny, Norweżka. Łucki, który chodził za nim jak cień, nie chciał pozostać w tyle. Już na Plantach krakowskich go poznawano i mówiono do niego: mistrzuniu. Już nazwa budowniczy Solnes przylgnęła do jego peleryny i młodopolskiej rudej brody, w czym trochę przypominał Wyspiańskiego. Prawdopodobnie dlatego Antek Łucki nie mógł już się ożenić z Polką i po powrocie z Bułgarii, gdzie spędził lato szkicując sklepienia zabytkowych klasztorów, przywiózł z sobą panią Draginę.

Na szczęście Przybyszewskiego już nie było w Krakowie, i pani Draginy nie poznał. Nietrudno byłoby się domyślić, co by się w przeciwnym wypadku stało. Kraków

natenczas przeżywał początek swego upadku. O Antku Łuckim prawie zupełnie zapomniano, najprawdopodobniej sam Przybyszewski o nim nie pamiętał, bo w *Moich Współczesnych* o nim nawet nie wspomniał. Ale Budowniczy Solnes pamiętał o swej wielkości, żyły w nim wciąż niepokój i tęsknoty przez Przybyszewskiego obudzone. Zdawało mu się, że powiedzieć światu, co miał do powiedzenia, przy pomocy kamieniczek nie mógł. Przerzucił się na rzeźbę. Z pewnością nie obeszło się tu bez wpływów jego żony, pani Draginy.

Umarłszy w młodym względnie wieku, bo mając zaledwie lat pięćdziesiąt, pozostawił żonie w testamencie tę właśnie pagodę otoczoną krokusami oraz testament polecający wykończenie tamże dzieła jego żywota: znakomitej Męki Pańskiej, wyrzeźbionej w kieleckim różowym marmurze. Właściwie Męka była wykończona jeszcze na długo przed feralną nocą, kiedy w mózgu budowniczego po przepiciu pękło naczynko – brakowało tylko granitowych schodów, do niej prowadzących. Wdowie nie starczyło pieniędzy na ich wykończenie.

Mieszkała, niby to osamotniona, na swym zieleniejącym wzgórzu, o widoku jedynym w Polsce (a może w całej Europie Wschodniej) o panoramie Tatr niezapomnianej – zepszczonej co prawda odrobinę przez czerwony dach małej wstrętnej chałupki, mieszczącej się tuż na stoku, po prawej ręce pagody. Dach ten był powodem nieustannych zgryzot nieboszczyka i jego żony – wyjątkowo szpecił dziką okolicę.

Pod dachem tym, w ciszy domowego ogniska, a właściwie w cieple buchającym spod blachy kuchennej, wygrzewała się w kłębek zwinięta lokajska dusza Barskiego.

Byłem podówczas 19-letnim studentem Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i wyjechałem w góry na plenery. Zwabiony urokiem Podbazia, wynająłem u Barskiego stryszek, do którego się wchodziło po średniowiecznej,

skleconej bez żadnego gwoźdźcia, drabince. Przez okienko w dachu widać było taras, szereg okien (z których dwa od sypialni pani Draginy Łuckiej) oraz szklane francuskie drzwi. Pewnego późnego wieczoru drzwi te otworzyły się i wyszła kucharka Antosiowa z elektryczną latarką w ręku. Był słaby halniak i wiało akurat w moją stronę. Przed paroma godzinami padał deszcz i widziałem, jak Antosiowa jedną ręką wysoko podtrzymywała swą bufiastą spódnicę. Nie zważając na krokusy, deptała po nich, idąc wprost ku naszemu gankowi. Po chwili zapukała i zapytała sennym, niezadowolonym głosem: – Panie Barski, czy wy już śpicie?

– Bo co? – odpowiedział z dołu Barski.

– Ona pana woła, bo jej się coś przyśniło.

Domyśliłem się, czemu tym słowom towarzyszył chichot. A właściwie dwa chichoty. Coś niecoś wiedziałem o tym, jak się okoliczni górale odnoszą do wdowy po budowniczym Solnesie. Z pewnością to ten bułgarski akcent tak ich bawi, pomyślałem.

– To niech pani Antosiowa jej powie, że jestem w szelkach – odpowiedział głos Barskiego. – Włożę tużurek, to przyjdę.

– Ach, niech pan idzie w szelkach, czy ona szelek nie widziała? Gdybym chciała i zaczęła liczyć te szelki, tobym się na palcach rąk nie doliczyła. A nie, panie Barski? – Antoniowa wciąż była senna i nawet plotkowała śpiącym głosem.

– A co jej znowu się przyśniło? – spytał Barski.

– Że nieboszczyk pan Łucki zrywa tulipany. Jej się wciąż śni, że zrywa tulipany, a u nas akurat nie rosną. Pan nie wie, co tulipany znaczą?

Co za brednie! pomyślałem. I wychyliwszy się przez okienko, oparłem się o parapet.

– Ja, proszę pani Antoniowej, wcześniej kładę się spać, bo pani wi, jaką mam nogę, i doktor kazał mi jej nie nad-

wereżać, żeby w fotelu siedzieć lub na łóżku na materacu leżeć. Ja jestem obraźliwym człowiekiem, pani Antoniowo, i pamiętam długo, jak kto ze mnie żarty stroi. Ja, prawda, mam sennik, egipski sennik, ale po nocach jej go nosić nie będę, nawet tużurku wkładać swego nie chcę.

- Kiedyz ja nie dlatego przyszła, że jej się coś przyśniło, panie Ksawery. Ale jej się przyśniło o tulipanach akurat wtedy, kiedy listonosz telegram przyniósł. Dla mnie sen to ważniejsze niż telegram, więc dlatego z początku o śnie powiedziałam. Kazała powiedzieć, żeby pan zaraz przyszedł, bo ten telegram pana dotyczy. Architekt jakiś telegrafował, a ona chce, żeby u pana zamieszkał.

- To dlaczego Antosiowa od końca zaczyna? Już idę, już idę, niech to, psiakrew, cholera ciężka... - Ostatnie słowa wyszeptał, a potem stuknęły na dole drzwi

Widziałem promyk latarki i dwie ciemne postacie, jedna męska, kulejąca jak to nieszczęście, druga z babską podetkaną spódnicą. Znikły w drzwiach Domu na Baziach.

- Ja, proszę pana malarza, lubię piękne obrazy i w ogóle przedmioty ze wzorami i kosztowne - mówił do mnie nazajutrz Barski, gdy zląłszy po swej drabince, przechodziłem przez kuchnię. - Pan moim towarzystwem nie pogardzi, kiedy pokażę panu swe herbowe talerze, serwis obiadowy i podwieczorkowy, i trzy tuziny sztucców srebrnych też z herbami, tylko zdekompletowane.

- Bardzo to mnie ciekawi - powiedziałem - czy ładna porcelana, lubię ładną porcelanę, chociaż na niej się nie znam. Trzeba umieć czytać te znaczki na spodzie...

- Niechże pan malarz na chwilę ze mną usiądzie. Ja ze swą skaleczoną nogą stać długo nie mogę, ale sam siedzieć, kiedy pan szanowny stoi, nie chcę. No, niech pan powie i pomyśli, czy z taką nogą jak moja ktoś może być kelnerem? Śmiech na sali.

Kuchnia śmierdziała biedą, ale stały w niej dwa bieder-mayerowskie fotele z trochę wytartym jedwabnym obiciem. Siadłem na jednym, postawiwszy między kolanami złożone sztalugi.

- Jakim kelnerem? - spytałem zdziwiony. - Nie bardzo zrozumiałem, o czym pan mówił?

- A czy pani Dragina Łucka jeszcze nic panu o mnie nie mówiła?

- W ogóle miałem przyjemność poznać tę panią dopiero przedwczoraj. Na mostku przez potoczek. Ukłoniłem się jej tylko.

Barski siedział, podkurczywszy lewą nogę pod fotel, a prawą wyciągnąwszy przed siebie. Zauważyłem, że nie mógł jej wyprostować, lecz trzymał jakoś półłukiem, przekrzywioną w bok. Miał czarny wąsik, bardzo charakterystyczny czarny wąsik, który swym kształtem coraz bardziej straszył całą ludzkość.

- Na pewno zaprosi pana na obiad, bo ona lubi młodych ludzi. Zwłaszcza z takimi oczami jak pan. Pan się dziwi? Ja też się dziwię. Ale zauważyłem, że ona zawsze otacza się ludźmi z błyszczącymi oczami.

- Jakie to dziwne! - zawołałem z zaciekawieniem i trochę ubawiony.

- A panu oczy błyszczą. Ja, jak patrzę na siebie w lustro, to od razu widzę jakby sadzawkę z rzęsą. Ale niech pan nie wierzy jej, że byłem kelnerem!

Odniosłem wrażenie, że chciał mi się przypodobać, bo pochylił się w krześle do przodu z trochę przychlebiającym i właśnie... niech go diabli! właśnie z trochę kelnerskim uśmiechem. Ale noga? Czy z taką pokraką można podawać do stołu? Najwidoczniej mówił prawdę. Albo pół.

- Owszem - powiedział - miałem zakład gastronomiczny, temu nie przeczę. Ale być właścicielem zakładu, a kel-